ROMANS i POWIEŚĆ

Rok XIV. Warszawa, dnia 7 października 1922 roku. № 40.

Juljusz German. Powieść.

40) TWARZ Z ZA KURTYNY.

— Poza? Czyś kiedykolwiek zauważył ją u mnie, ty stary przyjacielu?

— Właśnie nigdy i dlatego się dziwię...

— Czy nie rozumiesz, że chcę być silniejszy od tego faktu, który już się zdarzył, że chcę być ponad nim? A może myślisz, że się boję... stwierdzenia ruiny? Znając mnie, odrzucasz to przypuszczenie jako śmieszne, widzę to w twoich oczach. Niech ci się zdaje, że to taka próba woli...

I twarz ściemniła mu się granitowym odbłyskiem.

— Wola... Jak łuk napięty, by posłać strzałę w nieskończoność... Pan wspominał o mechanizmie ludzkiego ustroju — zwrócił się do Żarskiego. — Wola... Ona jedynie jest w nim godna tej nazwy: „boska"—uśmiechem miłym strząsnął z tego słowa powiew chmurnego patosu. — Kiedyś, przed rokiem, miałem zaszczyt przepędzić wieczór w towarzystwie największego z naszych żyjących poetów. Utkwiło mi niezatartym znakiem w pamięci jedno jego powiedzenie. Rzekł ten Michał Anioł polskiej mowy, półżartem, przy dobrym węgrzynie: „Cóż, czy myślicie, że, gdy umrę, nie znajdę tam druhów i wina? A ja wam mówię, że jeśli będę naprawdę chciał, to tak będzie". Z tego żartu mistrza błysk do mnie wyjrzał głęboki...

— Tam — szarpnął się aktor niechętnie.—Gdzież ja to czytałem? „Wszystko, co opowiada się o istnieniu zmarłych, jest niepewne i pełne licznych kłamstw i bajek".

— Niech pan dokończy — rzekł powoli Szreniawa. — Pamiętam dobrze ten ustęp z Maeterlincka. Dalej jest tak. „Ale w każdej bajce wiele jest prawdy schowanej, a kłamstwo to znowu tej prawdy kształt niezupełny".

— Z tem wszystkiem—szepnął Żarski — czy nie macie panowie tegosamego wrażenia, co i ja? Myśląc teraz o Lili, nie potrafię sobie za nic wyobrazić jakiejś całunowej, upiornej grozy. Ona i trumna... te pojęcia skojarzyć mi się nie mogą...

Lekarz ściągnął brwi, pogładził przyciętą w klin brodę.

— Chcę być bezwzględnie szczery... Widziałem martwą, pierwszy z obcych ludzi. I dziwna rzecz... Mimo to myślę o niej tak samo jak i pan.

Światła w oczach Bronicza, skupione czujnie i zawzięcie, rozpaliły się promieniem tak jasnym, że przez lot sekundy owiał mu lica odblask seledynu.

— Tegoby ona chciała! Nie! Tego ona chce!

Szreniawa drgnął nieznacznie. To była ta sama błyskawica przejmującej jasności, którą ujrzał w źrenicach Lili, gdy w jesienne popołudnie w biciu jej serca, odzianego w śliczne ciało, wyczuł morderczą chorobę. Tak, zagadkowa błyskawica, bratnia lśnieniu gwiazd stąd widzianych...

A z nią łagodny, nagłym rozdwojeniem lotny wstrząs, jakby z wnętrza istoty chciał wyłonić się ktoś ukryty...

W mgłę niepokoju wszedł ufnie śmiałym dźwiękiem opanowany równo głos Bronicza:

— Na cześć myśli naszych niewypowiedzianych, które odtrącają z pogardą chimerę nicestwa... Na cześć tej siły w każdym z nas tajemnej, która jest niewzruszoną podstawą niezbadanej, wieczystej ciągłości tego samego naszego istnienia, która ze złudy ostatecznych pożegnań się śmieje... I żeby na uśmiech czaru tej mnie najbliższej czekał tam, gdzie nie dojrzymy, ktoś nie majestatem strasznym groźny, ale uśmiechy lubiący...

Zawisł mu na ustach szept dla nich niedosłyszalny: — Żeby mi się dziecko nie przestraszyło...

I wzrok błysnął jakby do walki. Lecz zaraz wrócił mu na twarz wyraz pewności i życzliwej swobody.

— Chciałem poprostu powiedzieć: Wierzmy, że wszystko, czego chcemy, stać się może. Nie bójmy się tej wiary. Trąćmy się, panowie, myśląc, że Lili odjechała gdzieś tylko daleko.

Misternym brzękiem zagrało szkło w ich dłoniach. W blasku elektrycznych płomyków zamigotało słonecznie złote wino. W mimowolnem oczekiwaniu na cień wieści, ślad znaku, na odzew nieprawdopodobny wstrzymali dech w piersiach. Ale to czekanie było takiem mignięciem się chwili, że na zawód nie mieli już czasu.

— Patrzno, doktorze!—zawołał Żarski, który siedział na wprost wejścia do sali. — Chyba się nie mylę! W drzwiach stoi Olszański.

I dodał ciszej:—Przychodzić na kolację do Bristolu w parę dni po pogrzebie żony, to jednak trochę zawcześnie.—Skrzywił się.—W każdym razie rzecz taktu...

Młody oficer, z przepaską z czarnej krepy na rękawie munduru, zatrzymał się na progu, mrugając oczami jakby oślepiony jaskrawem oświetleniem i pstrym szumem biesiadnego zgiełku. Ostrym ruchem przezwyciężył wahanie i szedł powoli wśród stolików, najpierw z głową ku szyi lekko pochyloną, nie spoglądając na nikogo, przymusem sztywnie skrępowany. W jednym podrzucie wyprostował się hardo i zaczął wodzić wokoło wyzywającym, prawie surowym wzrokiem. Ujrzawszy Szreniawę wzdrygnął się cały kurczowo i cofnięciem w głąb zadrgał mu połysk źrenic, napełnionych nagle żrącym bezlitośnie bólem. Na gładkiem czole zrysowała się zmarszczka męki, w kątach ust sfałdowały się bruzdy. Rozpaczliwie uciekł spojrzeniem od lic

lekarza i ku Broniczowi niem przypadł. Nie było w tych oczach, śniademi cieniami silnie podkrążonych, żadnego echa wrogiej zaciekłości, z którą weń godził w teatralnej loży, gdy Bronicz żywą Lili widział raz ostatni. Poczuciem wielkiej winy, łzawą prośbą zamgliły się oczy młodzieńcze.

Jemu jednemu z wszystkich trzech się skłonił, w dźwięku ostróg, w przyzwyczajeniem układnej żołniersko dwornej postawie. Usiadł opodal przy niezajętym stole, profilem do nich zwrócony. Na lewą skroń spadały bujnie czarne włosy, przedziałem zagarnięte.

— Wzięło go, niema co mówić, —mruknął aktor.—Czyście się mu, panowie, dokładnie przyjrzeli? Zmienił się chłopak okropnie. Blady, aż zielony, oczy wpadnięte, podkute, jak w ciężkiej gorączce. Istny stwór, chociaż przebija w nim zawsze przystojność. Ale po co tu przylazł i między ludźmi świeci tą twarzą tragiczną?

— Boi się być sam — rzekł krótko Bronicz.

Aktor roztworzył szeroko pytające oczy, przymknął je zaraz, pokiwał milcząc głową.

Szreniawa spochmurniał. Urzędowa maska lekarskiej mądrości położyła mu się na twarz przelotnie. Rozłożył ręce ruchem człowieka, który zrzuca z siebie najdrobniejszą mgłę odpowiedzialności za czyn wbrew jego uroczystym przestrogom spełniony. Jakby patrzenie na Olszańskiego sprawiało mu przykrość, rozglądał się umyślnie po przeciwnej stronie sali. Poprawił z ożywieniem binokle.

— Obróć-no się, Ryszardzie. Ta twoja ładniutka sekretarka patrzy tu bez przerwy z takiem natężeniem, że blednie i rumieni się na przemian. Nie na mnie oczywiście, ani na pana Żarskiego. O, widzisz... Wydaje się naprawdę, że chce ci powiedzieć coś rzeczywiście ważnego...

Dwa płomienie gwałtownych błagań szły do Bronicza z rozszerzonych gorąco źrenic Irenki. Wzywała go oczami modlącemi się dziecinną szczerością, cała zapatrzona, piersią do stołu przyparta, nie zwracając jednego okruchu uwagi na swego towarzysza.

— Tak, masz słuszność, to jest coś ważnego... Trzeba do niej pójść...

— Czy nie uważasz, że niektóre sytuacje powtarzają się uparcie? Pamiętasz tę ukraińską donnę, w tej samej sali ciągnącą cię oczami?

— O nie! Powtarzają się tylko pozornie! Te same ramy, obraz nowy. Zbyt bogate, nieprzebrane jest życie — jasnym tonem rozdzwoniła się w głosie ufność zwycięska.

Na widok zbliżającego się Bronicza, drgnęły usta Irenki westchnieniem wdzięczności. Zwróciła się do rozrośniętego zamożnie młodziana krótkim, prawie bezczelnym gestem, w którym pewność słodko grzesznej urody drwiła z obojętnej żądzy:

— Proszę natychmiast zostawić mnie samą...

— Ależ pani, ależ Irenko—protestował oszołomiony ziemianin — nie zdajesz sobie chyba sprawy... ja nie pozwolę...

— Proszę odejść odemnie w tej chwili — szepnęła groźnie z takim nakazującym błyskiem w ognistych źrenicach, że młody człowiek zerwał się, jak biczem zacięty, odsunął z hałasem krzesło i oddalił się z gniewu purpurowy, zamaszyście oburzoną, barczystą postacią czerniejąc wyniośle wśród bieli stolików.

— Jakże panu dziękuję, że pan moje spojrzenie zrozumiał i zaraz... —splątały się w radosnym dźwięku zadyszane słowa Irenki.—Niech pan się nie dziwi... Nie myślałam, że jeszcze kiedykolwiek będę z panem mówiła...

A musiałabym podejść do pana, gdyby pan teraz do mnie nie przystąpił... Musiałabym... A byłoby to ciężko... Tak trudno o śmiałość między ludźmi... Proszę, proszę tylko nic się nie dziwić...

Patrzył spokojnie na jej twarz rozpaloną, krasną od rumieńców bujnej młodości, przebijających się kwietnie przez nalot karminu. Wydała mu się niezrozumiale obcą, w kłopotliwem zatroskaniu pokorną. Nie mógł odkryć w sobie cienia życzliwej chęci dla jednego szczegółu jej lic.

— Bez obaw i bez długich wstępów, śliczna pani. Jestem pani do czegoś potrzebny, czy nie tak? Szczerość wielka była w pani oczach. Gdy tę strunę poruszymy, porozumiemy się z pewnością.

— Ach, to właśnie, to jedyne... — oderwała od Bronicza wzrok rozświetlony, patrząc na kogoś poza nim. Wróciła zaraz do jego oczu prośbą rzewnie iskrzącą.

— Ten oficer w żałobie, który wszedł tu przed kilku minutami i ukłonił się panu... Kto on? Jego nazwisko? Kto on? Niech pan powie?

— Czy po to mnie pani wezwała?

— Tak, tylko po to... On może zaraz odejść, zniknąć na zawsze... I nie zobaczę go nigdy... Zgubi się w tłumie olbrzymim bez śladu, bez wieści... Los szyderczy zaśmieje się tem spotkaniem jedynem, zabierze go z przed moich oczu bezlitośnie... A ja muszę wiedzieć, kto on... żebym go znaleść mogła...

— To jest major Zbigniew Olszański, mąż Lili Dowgird, która umarła — rzekł Bronicz powoli. — Ale dlaczego skierowała pani to pytanie do mnie?

— Zbigniew Olszański—powtórzyła przymykając oczy, zaciskając wargi, chłonąc te słowa wszystką potęgą świadomości — nie zapomnę nigdy, dziękuję...

Pełny blask bronzowych źrenic złączyła z jego spojrzeniem.

— Chce pan wiedzieć, dlaczego pana o to spytać musiałam... pana... Powiem... ale, przez litość, niech pan na mnie nie patrzy...

Gryzący wstyd skręcał jej głosem, chylił jej ramiona, ścierając z twarzy urok wabnego wyzwania.

— Siedzimy tak na przeciw siebie... I ani pan ani ja nie chcemy pamiętać tej chwili, w której byliśmy tak blizko, jak ludzie żywi już bliżej nie mogą.

— Prawda — pomyślał Bronicz w szorstkiem osłupieniu — w tem jest jednak zimna potworność, nad żarem życia niszcząco wzgardliwa... Nie mogę uwierzyć, że ta kobieta była moją...

— To straszne — skarżyła się szeptem bezbarwnym — A przecież tak było! Czy to zginęło na zawsze? Czy nic nie znaczy, że to było? Szukaliśmy w sobie istot cudnie nieznanych, ja marzeń moich o panu szukałam, a znaleźliśmy odpychający chłód...

Ujmujący uśmiech zgasł mu na ustach posępną mgłą przykryty. Nic! Z żywej rzeczywistości wyziera ohydne, ziejące rozpaczą wszystkiej beznadziei nic!

— Więc jaki związek z tą całą naszą nieudaną historją ma ten oto?—wskazał poza siebie urwanym niecierpliwie ruchem.

— Związek...

Spoglądały nań teraz z twarzy dziko wiośnianej kryształowe oczy rusałki.

— Widziałem je! Już raz widziałem w niej tę drugą—rozpaliła się jasno żagiew przypomnienia.

Dalszy ciąg nastąpi.

FRYDERYK BOUTET.

MÓWIĄCY PIES.

Przekład z francuskiego przez H. J. P.

Siedzieliśmy przy kawie i likierach i każdy z nas musiał opowiedzieć jakąś mniej lub więcej zajmującą historyjkę.

Gdy przyszła kolej na pewnego bardzo szanownego staruszka, nie dał się prosić więcej, niż było potrzeba, przesunął dłonią po odrobinie siwych włosów, jaka mu pozostała na czaszce, rozsiadł się wygodnie i puścił kłąb dymu z namysłem.

— Historja, jaką wam opowiem moi przyjaciele — zaczął — jest pouczającą, a zarazem wzruszającą. Pouczającą, gdyż wykazuje, jakie skarby gienjuszu rozwinąć może człowiek walczący z trudnościami życia, ażeby zdobyć to, co mu niesprawiedliwa fortuna odmówiła. Wzruszającą, bo uczy nas, jak delikatnemi są uczucia tych wiernych towarzyszów, jakiemi obdarzyła nas Opatrzność w osobach psów, i jak trzeba zważać, aby im nigdy nie sprawić cierpienia przez brak względów i nieusprawiedliwione porzucenie, co zatwardza ich tkliwe serca i doprowadza ich do lekceważenia pana—pana, którego umiłowały miłością, jakiej równej niema na świecie...

Staruszek umilkł i ręką przesłonił oczy, jakgdyby dławiąc się wzruszeniem. Byliśmy wszyscy przejęci i milczeliśmy także z szacunkiem. Po pewnej chwili raczył znów przemówić:

— Bohaterowie mojego opowiadania nazywali się Barfin i Azor. Barfin był panem; Azor—psem. Kochali się obaj serdecznie, ale w gruncie Azor kochał o wiele więcej Barfina, niż Barfin Azora, co się w dalszym ciągu pokaże.

Barfin—słyszeliście o nim, nieprawdaż? — Barfin był człowiekiem inteligentnym, nawet zbyt inteligentnym, co jest niebezpiecznem, kiedy się nie ma dosyć pieniędzy... Był, jak to mówią, szczwanym i dokonał rzeczy zdumiewających, ale nigdy nie wykazał więcej genjuszu, niż z Mówiącym Psem, i nigdy go nikt nie przewyższył, ani przedtem, ani potem.

Ażeby dokonać takiego czynu, trzeba naprzód być brzuchomówcą, a potem mieć psa, mniejsza z tem jakiej rasy, byle się miało na niego oko i byle nie szczekał. Trzeba jeszcze znaleźć partnera, z którym ludzie tacy jak Barfin grają i nigdy nie przegrywają, poczciwca, który idzie przez życie z zamkniętemi oczyma i otwartą gębą, obchodząc ostrożnie źdźbło słomy i potykając się o belki, ale o takiego nie jest znów zbyt trudno.

Był tedy Barfin brzuchomówcą przednim, jakiego drugiego nie znaleźć, a jego pies Azor nie był rasowym, ale miał osobliwą fizjognomję, był podobny do nastroszonej sowy, gdy się na niego patrzyło wprost i do szczupaka, gdy się na niego patrzyło z profilu. A gdy Barfin mrugnął na niego, wyprawiał najpocieśniejsze miny mordą, ale nikt nigdy nie słyszał go szczekającym.

Otóż pewnego dnia wypłat około wpół do trzeciej wchodzi Barfin do restauracji w pobliżu biura podatkowego. W sali znajdował się tylko jeden gość wyglądający na wiejskiego obywatela, który z wyrazem zadowolenia na poczciwej twarzy zajadał smażoną solę. Barfin siada przy sąsiednim stoliku, a Azor wskakuje na krzesło naprzeciwko.

Barfin obstalował śniadanie i zaczyna jeść, czytając dziennik.

Nagle Azor, który patrzył na niego jakgdyby i on miał ochotę coś przetrącić, odzywa się:

— No, a ja?

— Cicho bądź Azor — rzecze Barfin.

— Co ja mam być cicho—odpowiada Azor rozgniewany.—Dobry sobie! Napycha się sam, a ja nie dostaję nic. To przecież obrzydliwe.

— Cicho bądź, Azor—powtarza Barfin surowo, opuszczając dziennik na kolana — zabroniłem ci mówić przy ludziach.

— Czekałem, żeby garson sobie poszedł—mówi Azor—ale zdycham z głodu.

Tu Barfin daje mu kawałek chleba umaczanego w sosie. Siedzący w pobliżu poczciwiec przestał jeść i wpatrywał się w Azora z osłupieniem.

— Cóż to?—odzywa się nagle Azor — czy ten gruby słoń chce mnie połknąć, że tak wybałuszył na mnie ślepia.

— Szkaradniku—rzecze Barfin...

— Panie — przerywa poczciwiec zdławionym głosem — przepraszam pana, ten pies mówi?

— Tak—odpowiada Barfin.

Ale Azor, na którego jego pan mrugał ciągle i który zachowywał się odpowiednio, uważa za właściwe wmięszać się do rozmowy.

— Oczywiście, że mówię — woła. — Dlaczego bym nie miał mówić?

— Dla... dla... niczego—ma się rozumieć — rzecze jegomość. — Czy to pan go nauczył? — zapytał Barfina.

— Tak — odpowiada Barfin chłodno.

— Przepraszam, najmocniej przepraszam za moje natręctwo... Ale to, doprawdy, zdumiewające... Jakże się pan wziął do tego?

— O! rzekł Barfin z gorzkim uśmiechem — to tajemnica, której poświęciłem piętnaście lat życia i cały majątek. Pozwolisz pan, że ją zachowam dla siebie...

— Bezwątpienia.. najmocniej przepraszam... Ale wybaczy pan jeszcze: czy to pan pierwszy...

— Nie — tłomaczy Barfin skromnie.—Mnie przypadła tylko w udziale chwała odnalezienia tego sposobu... W starożytności był on bardzo w użyciu... Stary Pliniusz wspomina o tem.

— Istotnie, istotnie—czyni uwagę jegomość, który nie zdaje się być w wielkiej zażyłości ze Starym Pliniuszem. Ale to nic nie szkodzi... to nadzwyczajne... I pan jeszcze nie ujawnił tego zdumiewającego odkrycia?

— Nich go nie zna. Pan jest jedynym. Zresztą liczę na pańską dyskrecję, człowieka honoru...

— Skończyłem—przerywa Azor— Chcę jeszcze co innego. I zrobił byś lepiej, gdybyś nie paplał trzy po trzy...

— Nie! tego nadto! rzecze Barfin.

— Pozwól pan—przerywa jegomość, pochylając się dobrotliwie ku Azorowi.—Mój... mój kochanku; tak bym cię pragnął poczęstować czemkolwiek i zadać ci parę pytań...

— Zjem kilka ciastek z czekoladą i makaroników—rzecze Azor— ale gadać z tobą ani mi się śni; masz zbyt głupią minę.

— Cudownie! woła gruby jegomość, pękając ze śmiechu, podczas gdy Barfin jest mocno zgorszony. Cudownie! Zachwycająco... ha! ha! ha!

Rozkazuje podać ciastka z czekoladą i makaroniki i zabiera się znów do jedzenia w zamyśleniu. Barfin wraca do dziennika, a Azor chrupie przysmaki.

Nagle jegomość kładzie serwetę i zwraca się do Barfina.

— Czy on jest jedyny, którego pan nauczył?

— Nie — odpowiada Barfin —

mam jeszcze dwóch. Ci są lepsi od niego. Mogą rozmawiać gwarą i śpiewać psalmy po angielsku...

— Lepsi odemnie! — przerywa Azor obrażony—słyszał kto coś podobnego!.. Naprzód to ja ich nauczyłem wszystkiego dzięki mojej niewyczerpanej cierpliwości...

— To on jest także profesorem!.. rzekł jegomość pełen uwielbienia — to nadzwyczajne...

A po chwili zwracając się do Barfina:

— Panie! kupuję od pana tego psa.

— Panie! odpowiada Barfin — nigdy!

— Bardzo dobrze! mówi Azor. Poczem do jegomościa:

— Chcesz mnie kupić?.. Za kogo mnie bierzesz?

— Kupuję go — ciągnie dalej tamten—a raczej zawiążemy spółkę. Ja ponoszę koszta zbytkownej wystawy i reklamy. Mam spryt do interesów...

— Ani słowa więcej — przerywa Barfin.—Nie pohańbię moich przodków zstępując do rzędu obwoziciela nadzwyczajności.

— Bardzo dobrze!.. potakuje Azor.—Pokazywać mnie jak cyrkowca!.. Słyszane rzeczy!

— Panie!—rzecze poczciwiec do Barfina—można iść z postępem nie ubliżając sobie. Nie trzeba być nadto drażliwym... Nie odrzuca się tak lekko sposobności zrobienia miljonów... Bo pański pies ma miljony w gardle...

— Wiem o tem — rzecze Barfin wahając się.

— Czyż to nie jest słusznem— ciągnie dalej tamten z zapałem — by te wszystkie trudy, jakie kosztowało pana to nadludzkie dzieło, znalazły nagrodę?

— Być może—powiada Barfin.— Przychodziła mi istotnie myśl, żeby pojechać z mymi uczniami do Stanów Zjednoczonych i tam...

— Panie—przerywa gruby jegomość. — Trzy okazy są panu zbyteczne. Sprzedaj mi pan Azora. Jedź z tamtemi dwoma... Zdaje mi się, że pan nie rozporządza dostatecznemi środkami...

— Za pozwoleniem...

— Niech się pan nie obraża... Cena, jaką panu zapłacę, będzie mogła ułatwić...

— Nie chcę! wrzasnął Azor. — Nie sprzedawaj mnie. Wiem przecie, że przedsiębiorca widowisk, z którym się wczoraj widziałeś, obiecał ci dać zaliczkę, jakiej sam zażądasz!

— Panie! wykrzyknął gruby jegomość—tacy przedsiębiorcy widowisk, to zazwyczaj oszuści, ten pana nabierze. Zaciągniesz pan dług, który wlec się będzie za tobą jak kula galernika... Tymczasem sprzedając mi Azora pozostajesz pan panem położenia. Opatrzność sprowadziła nas tutaj dla zobopólnego dobra... Mam córki na wydaniu...

Sam już nie wiedział co mówił w odurzeniu tej złotej sposobności, która mu się nadarzała tak niespodzianie, a którą lękał się utracić.

— A więc pięć tysięcy, dobrze? zapytał.

— Nie!—darł się Azor. — Tamten dawał ci dziesięć tylko nakoszta podróży. Nie sprzedawaj mnie... Ja chcę jechać do Ameryki.

— Panie! rzekł Barfin — tu się nie rozchodzi o pieniądze...

— Ośm tysięcy! przerwał tamten.

— Nie! wrzeszczał Azor rozpaczliwie—nie! Nie chcę! Nie sprzedawaj mnie! Słyszysz. Nie sprzedawaj mnie!

— Muszę!—rzekł Barfin.—Przyjmuję pańską propozycję. To mój obowiązek. Będę mógł w ten sposób spłacić długi, nie narażając mojej przyszłości, która jest w rękach Boga... Daj pan dziesięć tysięcy i bierz Azora, moje ukochane dziecię...

— Stało się!.. ryczał Azor. — Czyś ty Judasz, żeby sprzedawać przyjaciela!

— Będzie ci u mnie jak w raju, kochanku — zapewniał gruby jegomość!

Ale tu Azor zwrócił się ku niemu i zaczął mu wymyślać najordynarniejszemi wyrazami. Im bardziej grubijańskim był Azor, tem bardziej tamten promieniał.

Dobito targu i gruby jegomość wypłacił Barfinowi dziesięć tysięcy franków, które podniósł z banku tego samego dnia, jak powiedział.

Poczem wziął Azora na smyczę i wyszli.

Azor opierał się ze wszystkich sił i wrzeszczał na pustej ulicy, że chce iść z Barfinem.

Gruby jegomość skinął na dorożkę. Wsiadł trzymając Azora w objęciach i zamienił ostatni uścisk dłoni z Barfinem. Dorożka rusza z miejsca, zaś Azor, który zdawał się czekać na tę chwilę, wychyla się przez drzwiczki ku swemu dawnemu panu i woła zjadliwie:

— To, coście mi obaj zrobili, to jest swiństwo. Ażeby was ukarać, nie będę już mówił!

I dotrzymał słowa, jak przystało na uczciwego psa.

Klaudyusz Anet. Powieść.

ROZKIEŁZNANE MOCE.

34) Przekład z francuskiego przez H. J. P.

O dziesiątej zrana komisarz przyjechał automobilem z żołnierzem i zabrali jej pana na Gorochową. Nie dali mu czasu na napisanie do Lydji, kazał jej więc tylko powiedzieć, że prawdopodobnie chodziło o jakieś badanie, że zapewne wypuszczą go przed wieczorem. Jeżeli nie, otrzyma jutro od niego kartkę przez któregoś z więźniów, jakich uwalniano codziennie.

Lydja zbladła i musiała oprzeć się o Anuszkę, która ją podtrzymała.

Sawinski w więzieniu!.. Bez niej... Z powodu niej, zapewne!.. Straszliwy wyrzut sumienia rozdarł jej duszę na wspomnienie słów, wyrzeczonych dnia poprzedniego... Jakże tu czekać... Jak stracić bodaj jedną chwilę!.. Należało natychmiast biedz do Simeonowa...

Konieczność działania przywróciła jej siły. Szybko poszła do sztabu na placu Pałacowym i zażądała widzieć się z generałem.

Przypadek sprawił, że był właśnie w biurze. Gdy mu oznajmiono Lydję, kazał ją natychmiast wprowadzić. Nie widzieli się blisko od roku i niewzrusony Simeonow zdumiał na widok zmiany, jaka przez ten czas zaszła w powierzchowności Lydji. Pożegnał ją niemal dzieckiem; teraz miał przed sobą kobietę, której piękności nawet ogromne wzburzenie, malujące się w jej rysach, nie zdołało oszpecić. A ta twarz, drgająca bólem i niepokojem, była tak wymowną, że nawet ten człowiek, tak daleki od wszelkich uczuć, zrozumiał nagle całą głębię życia namiętności, której dotąd nawet nie podejrzewał.

Po raz pierwszy serce mężczyzny zabiło mu w piersi, a gdy Lydja powtarzała mu z rozpaczą „Mikołaj Władymirowicz jest w więzieniu", zaczął ją uspokajać i jednocześnie szczególne uczucie, jakiego dotychczas nie znał, a które dziwnie podobne było do zazdrości, zalało mu duszę.

— Niech się pani nie trwoży— rzekł — zajmę się tem natychmiast.

Chwycił słuchawkę telefonu, ale Lydja ujęła go za rękę.

— On jest tutaj — rzekła drżącym głosem — o dwa kroki stąd, na Gorochowej. Pójdziemy tam razem.

Simeonow popatrzył na nią zdumiony. Jak ona go kochała!

Ale nie sprzeciwił się i tylko, gdy zeszli ze schodów, rzekł do niej w sieni:

— Niech pani tu na mnie poczeka. Nie mogę zaprowadzić pani na Gorochową. Powrócę za chwilę.

Ale Lydja odmówiła.

— Poczekam na pana na ulicy — rzekła. — Każda chwila coś znaczy.

Podczas drogi Simeonow rzekł do niej:

— Skoro panią widzę wreszcie i skoro pani masz wpływ na Mikołaja Władymirowicza, pozwól mi sobie powiedzieć, że możesz mu wyświadczyć wielką przysługę. Jest zagrożony, to prawda. Może uda mi się jeszcze wydobyć go tym razem, ale, Lydjo Sergjuszówno, trzeba, żeby przystał do nas, żeby z nami pracował. Potrzebujemy go. Niech go pani namówi... Inaczej, nie zawsze będzie w mojej mocy uratować go.

— Tak, tak—odpowiedziała Lydja, która zdawała się nie słyszeć.— Przyrzekam panu. Ale spieszmy się. Zobaczymy się później. Wtedy mi pan wytłómaczy, co mam czynić.

Stanęli przed drzwiami prefektury. Simeonow wszedł sam. W dziesięć minut potem wrócił do Lydji nieruchomej i bladej na trotuarze.

— Rzecz załatwiona — rzekł. — Nasz przyjaciel będzie uwolniony, są jednak pewne formalności do załatwienia. Powiedziałem, żeby go przyprowadzono do sztabu. Jeżeli pani chcesz czekać na niego, pójdź rozgrzać się u mnie. Nie mogę zostawić pani na tym zlodowaciałym trotuarze.

Lydja poszła za nim bez oporu. Była zmęczona i zziębnięta. Odkąd należała do Sawinskiego, nie przeżyła jeszcze tak straszliwej godziny.

Simeonow wrócił do przedmiotu poprzedniej rozmowy. Sawinski narażał się wielce rządowi. Już dzisiaj bardzo trudno było go uwolnić. A ponieważ Simeonow wiedział, że Lydja była żarliwą patrjotką, rozwinął przed nią zręcznie ideję połączenia rosyjskich ziem pod czerwonym sztandarem i unicestwienia bezbożnego dzieła rozczłonkowania, jakie zapoczątkowała pierwsza rewolucja. Był w swoim żywiole na tym gruncie. Wywołał potężne wspomnienia Rewolucji francuskiej, napomykając o nowym, nieznanym Bonapartym, mającym się zjawić po Robespierze.

Ale Lydja nie zrozumiała tej tak przecież przejrzystej aluzji. Przez pół tylko słyszała, co mówił Simeonow. Sawinski nie nadchodził. O czem że innem mogła myśleć? Dopóki go nie ujrzy, serce jej nie zazna spokoju.

Zresztą serce to było głęboko wstrząśnięte. Przedstawiała się znowu konieczność wyjazdu, Finlandja, powrót Soni... Lydja była, jak umarła... Jednakże trzeba było odpowiedzieć na pytanie Simeonowa, który tłómaczył jej, że i ona musi również przyjąć jakieś zajęcie w biurach rządowych. Wszyscy będą musieli pracować dla Sowietów. Simeonow mógł ją wziąć do sztabu, jako sekretarkę; dać jej jakąś zajmującą robotę.

Uśmiechnęła się blado.

— Dziękuję panu, Leonie Borysowiczu. Jest pan bardzo uprzejmy...

I nagle skoczyła ku drzwiom. Wszedł Sawinski.

— Jesteś! — wykrzyknęła. — Widzę cię!

Zapomniała nawet o obecności Simeonowa, który patrzył na nią w milczeniu.

W kilka chwil potem Lydja uprowadziła kochanka, dając mu zaledwie chwilę czasu na podziękowanie Leonowi Borysowiczowi.

* * *

Minęło kilka tygodni. Po raz wtóry obchodzono Święta Bożego Narodzenia i Nowy Rok w smutku i ogólnej nędzy. Nadzieje wyzwolenia oddalały się z każdym dniem. Trzeba było teraz czekać lata, aby admirał Kołczak i generał Denikin mogli byli ponowić ofenzywę w Syberji i na Południu.

A czy im się powiedzie? Było to bardzo wątpliwe, tymczasem zaś należało przeżyć lodowate miesiące zimy wśród braku żywności i opału.

Lydja często popadała w smutek i czyniła sobie wyrzuty z tego powodu. Byłaby pragnęła przynosić kochankowi wraz ze swoją młodością tylko wesele i radość. Mówiła o sobie, że powinna mu zastąpić dziś wszystko. Alboż nie dla niej wyłącznie pozostał w Piotrogrodzie, rozłączony z rodziną?

A jednak, jak się zdecydować na wyjazd? I gdyby nawet zdobyła się na tę ofiarę, jak nakłonić matkę, niechcącą przestąpić progu swego pokoju, ojca niezdolnego do zniesienia trudów uciążliwej podróży? Zresztą, czy dostaliby wizę? Wszystkie te przeszkody wydawały się jej nie do przezwyciężenia, a najważniejsza tkwiła w niej samej.

Tymczasem nieprzewidziany wypadek raz jeszcze uprościł położenie i nadał mu nowy kierunek.

Pewnego styczniowego popołudnia Lydja przyszła do Sawinskiego zaraz po jego śniadaniu, które jadł samotnie na małym stoliczku, przystawionym do pieca w gabinecie. Księżniczka była niezwykle ożywioną i na wstępie powiadomiła Sawinskiego o tem, co zaszło.

— Wyobraź sobie—rzekła—i my także mieliśmy rewizję. Ale, dzięki Bogu, nikogo z nas nie zaaresztowano. Przyszli zobaczyć, czy nie mamy ukrytej broni i papierów kompromitujących. A przytem zjawili się o przyzwoitej porze. Było dopiero po jedenastej; nikt jeszcze nie spał. A co w tem najzabawniejszego, to, że komisarzem wojskowym był ten sam Iwanow, który robił rewizję tutaj, pamiętasz? Oczywiście, poznał mnie, ale nie powiedział ani słowa przed mamą... Tylko, gdyśmy zostali sami na chwilę, uśmiechnął się do mnie i powiedział, że jestem zawsze równie piękną, wyobraź sobie... Ojczulek zachował się bardzo dobrze. Nie okazał żadnej obawy, nawet zdziwienia. Rzekłby kto, że ich czekał oddawna, że dziwił się tylko, iż przyszli tak późno. Iwanow bardzo go przepraszał; zabawili zaledwie dziesięć minut w jego pokoju. Ale z mamą było całkiem inaczej. Trzeba było czekać bardzo długo przed jej drzwiami. Zamknęła się ze swoją pokojówką, a kiedy wreszcie otworzyła—czybyś uwierzył?—stała w toalecie balowej, ustrojona we wszystkie klejnoty, jakie jej jeszcze pozostały. Drżała biedaczka, jak listek, ale była pełna godności i powiedziała komisarzom: „Panowie, przepraszam, że wam dałam czekać; jestem gotowa iść, gdzie mnie zaprowadzicie"... Napróżno Iwanow chciał ją uspokoić. Nie chciała słuchać, co jej mówił, i powtarzała co chwila: „Pokażę wam, panowie, jak prawdziwa Rosjanka potrafi umrzeć". I wiesz, najdroższy, z początku chciało mi się śmiać, a potem tak mi się jej zrobiło żal, że zaczęłam płakać. Mama brała mnie co chwila w objęcia i mówiła: „Sądzę, panowie, że matka wam wystarczy; pozwolicie mi ucałować moją córkę". To była scena poprostu rozdzierająca. Wyszli wreszcie zostawiając ją nawpół zemdloną z Katią. A ja musiałam oprowadzić ich po reszcie pokojów, gdzie było przeraźliwie zimno... Odeszli o pół do drugiej, nie znalazłszy ani broni,

ani papierów, ani nic, wyjąwszy stary pałasz ojca, który zostawili. Żołnierze tym razem skradli kilka drobiazgów...

Lydja umilkła raptownie, jakgdyby miała jeszcze coś do powiedzenia, przed czem się zawahała. Sawinski, który nie spuszczał z niej oczu, zauważył, że zamyśliła się ze ściągniętem czołem i że unika jego wzroku. Przytuliła się do niego, oparła mu głowę na ramieniu i pozostała tak długo w milczeniu.

— Jakże się miewają dziś twoi rodzice?—zapytał wreszcie Sawinski.

Lydja drgnęła.

— Powiem ci wszystko — rzekła. — Ojczulek ma się dobrze, nawet zadziwiająco dobrze. Oddawna nie był tak rzeźkim. I sam przeszedł się nawet parę razy po pokoju z dwoma laskami i zanucił starą, ulubioną piosenkę, której nie słyszałam od czasu rewolucji. Ale biedna mama jest w opłakanym stanie... To prawdziwy dramat... Wyobraź sobie, że się wcale nie kładła... i o jednem tylko myśli: opuścić Rosję. Już w nocy zaczęła się pakować i cały ranek tem tylko była zajęta z Katią... Powtarza bezustanku: „Nie zostanę ani jednego dnia dłużej w kraju, gdzie się tak obchodzą z kobietami". Zdaje mi się, że poprostu straciła głowę. Przed południem chciała koniecznie posłać generała Wasiljewa na dworzec Finlandzki po bilety do Stockholmu. Wyobrażała sobie, że się jeszcze kupuje bilety za granicę, jak dawniej... Biedny generał musiał iść, a gdy wrócił z pustemi rękoma, zrobiła mu scenę, powiedziała, że to jego wina, że jest do niczego i wreszcie oświadczyła, że chce widzieć ciebie, że ty tylko potrafisz wszystko urządzić. To ona mnie tu przysłała... Czeka cię...

I znowu nastąpiło długie milczenie. Lydja tuliła się do Sawinskiego, jakgdyby nie śmiejąc spojrzeć mu w oczy. Czuł przyśpieszone bicie jej serca. Nie potrzebował jej pytać; wiedział, jaką mękę cierpiała w owej chwili. Pieścił ją więc tylko tkliwie i rzekł jej pocichu:

— Gdziekolwiek będziemy, nic nas nie rozłączy, jedyna... Uspokój się, błagam cię.

— Czuję, że cię utracę—mówiła Lydja łkając.

I rozpaczliwie czepiała się ukochanego.

IV.
ODJAZD.

Trzeba było przygotować wszystko do wyjazdu i otrzymać wizy rządowe.

Lydja zapowiedziała, że nie opuści Rosji, dopóki Sawinski nie będzie miał formalnego pasportu na zagranicę. O tem, żeby go uzyskać na jego nazwisko, nie można było marzyć. Na szczęście miał pasport Iwana Iljicza Petrowa, handlarza lnem, jaki mu zostawił Spasski. Miałże pod tem nazwiskiem przedostać się do sąsiedniej Estonji? W Rewlu było teraz dosyć kupców lnu dla Europy i może ten pretekst okazałby się dostatecznym.

Albo może lepiej było uciec cichaczem przez granicę finlandzką? Agencje kontrabandzistów podejmowały się tego za cenę jakichś dwudziestu tysięcy rubli. Lydja sprzeciwiała się temu projektowi, który jej się wydawał niebezpiecznym, podczas gdy Sawinski uważał go łatwym do uskutecznienia. Zgodziła się na to tylko w ostateczności, gdyby mu odmówiono wizy do Rewla. Sawinski zajął się tem niezwłocznie.

Lydja jednak nie traciła nadziei uzyskania przez Simeonowa dla siebie i swoich przepustki, która by im dozwoliła znaleźć się w Finlandji w ciągu kilku godzin.

Stary książę, pomimo, że stan jego zdrowia polepszył się, nie byłby zniósł dłuższej podróży. Księżna żyła w stanie nadzwyczajnego podniecenia. Kufry jej były gotowe i zamknięte nazajutrz po rewizji, a ona sama nie zdejmowała podróżnego ubrania.

Stosunki jej ze starym przyjacielem Wasiljewym uległy szczególnej zmianie.

Obchodziła się z nim teraz, jak z człowiekiem bez wartości, istotą niepotrzebną, po której niczego spodziewać się nie można. Nie mogła mu przebaczyć, że nie potrafił dostać na dworcu Finlandzkim biletów, po które go posłała. A gdy biedny generał, czując się zapomnianym w tem podnieceniu, w jakiem żyli właściciele pałacu Wołyńskich, odważył się zapytać:

— A ja?.. Co się ze mną stanie?

Odpowiedziała mu:

— Nie jesteś pan dzieckiem, o ile wiem. Jeśli chcesz także wyjechać, to sobie radź.

Co się tycze księcia Sergjusza, ten codziennie wprawiał się w chodzenie po swoim gabinecie, gwiżdżąc wojskowego marsza. Troszczył się też o Sawinskiego. Lydja, nie wdając się w szczegóły, uspokoiła go. Sawinski przybędzie do Helsingforsu w parę dni po nich.

Ponieważ biura odmawiały wizy za granicę, trzeba było udać się do Simeonowa. Lydja poszła do niego sama.

Simeonow wysłuchał jej z nadzwyczajną grzecznością i nie czynił żadnych trudności o wizy dla księcia i księżnej, które obiecał uzyskać w komisarjacie spraw zagranicznych. Fatalny stan zdrowia księcia usprawiedliwiał potrzebę kuracji za granicą. Doktór miał go odwiedzić i wydać odpowiednie świadectwo. Ale rzecz tę można było uważać za załatwioną.

Lydja doznawała dziwnego wrażenia, znajdując się w obecności Simeonowa. Patrząc na niego, nie mogła prawie wyobrazić sobie, że ma przed sobą jednego z przywódców tego straszliwego stronnictwa bolszewickiego, które szerzyło postrach w całej Rosji i dla którego życie ludzkie nie miało najmniejszego znaczenia.

Był wykwintnie uprzejmy, bardziej jeszcze, niż dawniej, kiedy go spotykała u Natalji Szupow-Karamin. Ubiór jego odznaczał się elegancją. Czy podobna, żeby ta biała, wypielęgnowana ręka podpisała tyle wyroków śmierci!.. A jednak uratował Sawinskiego... Ale czy to nie on kazał go uwięzić? Jakże był zagadkowym, nieprzeniknionym.

W każdym razie względem Lydji był bez zarzutu. Widocznie pragnął się jej przypodobać.

— Rozumiem—rzekł—iż rodzice pani pragną opuścić Piotrogród, i uczynię wszystko, co będzie w mojej mocy, aby im to ułatwić!.. Ale pani, Lydjo Sergjuszówno, po co pani chcesz jechać? Gdybyś była przeciętną panienką, uważałbym za rzecz naturalną, że lękasz się mieszkać w mieście, gdzie ład nie jest jeszcze w zupełności przywrócony, gdzie brak opału i gdzie się licho jada. Ale pani stoi ponad takiemi przeciętnemi obawami. Pani jesteś odważną, wiem o tem. Panią nie łatwo przestraszyć. Czyż pani nie czuje, jak niesłychanie ciekawem jest obecnie życie w Rosji? Nigdy nasz kraj nie był polem bardziej zdumiewających zamierzeń, to niż te na jakie myśmy się porwali. Cały świat ma oczy na nas zwrócone. Nasz zapał przeszedł granice, ogarnął Europę, przebył morze. To jest choroba, z której narodzi się nowa ludzkość. Tu ona ujrzy światło dzienne. Rosja uczyni z niej podarunek światu. Nigdy Rosja nie przeżywała wznioślejszej i bardziej wstrząsającej godziny. Pomyśl pani o naszych wielkich ludziach, o naszych panslawistach, o Dostojewskim, którego tak lubisz.

Dalszy ciąg nastąpi.